

„Ja, powstaniec.”

Autor: Filip Dąb-Mirowski

Wydanie II poprawione

Copyright © 2014, 2015 by Filip Dąb-Mirowski

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części niniejszej publikacji jest zabronione bez pisemnej zgody autora.

opracowanie graficzne Filip Dąb-Mirowski

korekta Marta Staniszevska

ISBN 978-83-934256-2-4

Ocknął się, gwałtownie i niespodziewanie. Jak gdyby wynurzył się z morskich głębin, nawet podobnie zachłysnął się powietrzem. Serce waliło mu jak oszalałe i przez chwilę zbierał myśli, próbując odegnąć sen. Rozejrzał się nieprzytomnie po stojących wkoło, zajętych sobą ludziach, a potem popatrzył w niebieskie niebo i przymknął oczy pozwalając kojącym, ciepłym promieniom uspokoić skołatanе nerwy. Musiał na chwilę odpłynąć, ot tak po prostu ze zmęczenia. Na stojąco. Nie on pierwszy.

Nie pamiętał co mu się śniło, chociaż na pewno nic przyjemnego. Ale im dłużej wyciągał twarz ku niebu, tym czuł się lepiej, a duszne wspomnienie koszmaru, bezpowrotnie uleciało z jego pamięci. Spojrzał dookoła, tym razem już zupełnie trzeźwo. Wąska brukowana ulica, usłana kawałkami szkła i gruzu, a w jednym miejscu na wpół przegrodzona rumowiskiem po zwalonym froncie kamienicy. Zresztą pozostałe budynki nie wyglądały lepiej. Jak martwe, wypalone czaszki, bezszybe ślepie okien i zdarte skóry tynków, okaleczone jak ciała ich mieszkańców, których już tyle widział. Zbyt wiele. Popatrzył na odległy o kilka metrów włącz kanalizacyjny.

Nie podobał mu się ten pomysł. Wiedział to od momentu, w którym spojrzał w ziejącą czernią czelusć. Bał się jak cholera. Tutaj stali w pięknym letnim słońcu, ale tam czekał tylko tchnący chłodem mrok. Starł kroplę potu z czoła. Zdjął szwabski hełm i przeczesał ręką tłuste włosy. Kiedy ostatnio mył głowę? Chyba w drugim tygodniu, jak ich odesłali na dwa dni na tyły. Teraz szkoda było wody na takie rzeczy. Byle starczyło jej do picia. Splunął pod nogi i wtarł plwocinę podeszwą w pokrywający ulicę pył.

Nie on jeden miał pietra. Gdzie się obrócił, widział wystraszone twarze. Niekończąca się kolejka obdartych powstańców i stojący obok mieszkańcy. Ich pełen pretensji wzrok. Nieznośne milczenie. Porządkowi wpuszczali tylko grupy z przepustkami albo przewodnikiem. Co na jedno wychodziło. Cywile mieli małe szanse. Niewielka grupa poszła w pierwszym rzucie. Nikt ich nie pytał o zdanie, kiedy to się zaczęło i tym bardziej teraz, gdy teraz upadała ich kochana Starówka.

Jedni bali się ciemności tam na dole, drudzy nadchodzącej nocy, gdy nikt ich już nie obroni.

Gdzieś w oddali gruchnęła eksplozja. Ziemia zadrżała pod stopami i wszyscy odruchowo się skulili. Spojrzał w niebo, ale poza dymem z pożarów nie widział niczego niepokojącego. Nigdzie samolotów. O tyle dobrze. Wolał nie myśleć, co zrobią z tymi biedakami Niemcy po zajęciu dzielnicy. Zagłuszał poczucie winy, jak mógł. Wmawiał sobie, że jakoś sobie poradzą.

- Przecież te bydlaki nie zrobią tu drugiej Woli. A może? Niech spróbują, to nie będę brał żadnych

jeńców, chłopakom też zabronię. Jeszcze im dokopiemy. A rozkaz, to rozkaz. - myśli goniły jedna drugą.

Słyszał za sobą zmęczone głosy swoich ludzi. Głupie żarty. Przekomarzanie się chłopaków. Niewinny flirt z łączniczkami. Wiedział, że co i rusz zerkali na niego nerwowo. Patrzyli na swojego dowódcę w poszukiwaniu... - czego właściwie? Może zapewnienia, że wszystko będzie dobrze.

- Bzdura.

Gdzieś, sto czy dwieście metrów dalej, doszło do krótkiej strzelaniny.

- Znowu podchodzą pod barykady? Żebyśmy chociaż dali radę wejść.

Na razie przechodzili ranni. Później miały iść uzbrojone oddziały. Stojący przy władze kapitan był w tej materii bezwzględny, więc cierpliwie czekali na swoją kolej. Może zdążą, zanim na głowę posypią się bomby. Przynajmniej nie byli w tylnej straży. Odrzucił ponure rozważania i zmusił się do uśmiechu. Położył hełm na ziemi i oparł na nim stopę.

Demonstracyjnie, niby od niechcenia wyciągnął z kieszeni na piersi zielono-czerwoną paczkę Lucky Strike. Puknął nią o dłoń, wysuwając pojedynczego papierosa. Wyciągnął go ustami.

- Zostało w was jeszcze trochę ognia, chłopaki? – zażartował, odwracając się do nich. Niemrawy pomruk aprobaty. Ktoś rzucił „jasne”, inny jeszcze bąknął „pewno”, a reszta tylko pokiwała w zmęczeniu głowami. Stojący obok Edzio podał dowódcy ogień, z wprawą jednym ruchem odpalając metalową zapalniczkę.

- Dzięki, Szpaczku. - wziął głęboki wdech, po czym klepnął chłopaka w ramię.

- Piękna amerykańska zabawka. Chociaż chyba za młody jesteś na palenie, co? Może mi ją oddasz?

- dodał nieco głośniejszym głosem i puścił oko do reszty. Roześmiali się. Szpak nie dał się zbić z pantałyku.

- Za młody to byłem przed powstaniem, panie poruczniku. - odparł twardo, ale bez śladu wrogości.

- To prawda. Zuch jesteś. Jeszcze im pokażemy. - wolno wypuścił dym z płuc. Pokiwał głową, wypływając drobinki tytoniu. Chłopak odwrócił się do kolegów, którzy poklepalili go po plecach i poczocharali kasztanową czuprynę loków.

Wszyscy byli z niego dumni. Raptem szesnaście lat, najmłodszy w oddziale, a dwa dni temu sam spalił niemiecki czołg, a drugi uszkodził. Wystąpił dla niego o odznaczenie, ale zarządzona ewakuacja wstrzymała obieg dokumentów. Patrzył tak, ćmiąc papierosa, na stojących w kolejce i rozmyślał. Trochę zeszło z nich napięcie. To dobrze.

Ktoś popukał go w ramię. Chciał się odwrócić ale nagle cały świat rozplynął się przed nim, jak gdyby cały był teatrem, a ktoś ukryty za kulisami rozsunał skrywającą mrok kurtynę. Zrobił krok i nagle zapadł się w nim cały.

Obudził się z głośnym westchnieniem. Powoli wracał do rzeczywistości. Coś mu się chyba śniło, nie pamiętał dokładnie ale chyba coś przyjemnego. Odwrotnie niż w rzeczywistości. Było chłodno i wilgotno. Lepka kropla spadła mu na policzek. Starł ją z obrzydzeniem. Ciemność i przeraźliwy odór. Ten pieprzony kanał.

- Władek... ja... dłużej nie wytrzymam – wysapał mu do ucha Staszek.

Słaniał się na nogach, a teraz kurczowo zaciskał palce na ramieniu idącego przodem brata. Zignorował go. Młody jęczał tak już dłuższy czas. Dopóki mruczał pod nosem, nie trzeba było mu

przeszkadzać. Każdy radzi sobie na swój sposób. Jedni się modlą, inni złorzeczą. Byle się nie załamać. Nie oszaleć. To było najważniejsze. Ze wszystkim innym mogli sobie poradzić. Przystanął na chwilę by złapać oddech.

Gdzieś dalej i wyżej nastąpiła eksplozja. Głuchy, dudniący odgłos spadających bomb. Podziemia zamruczały od przetaczających się nad nimi wstrząsów. Woda zafalowała, a Staszek zaskomlał cicho.

- No już, już. Będzie dobrze. Przeprowadziłem nas już dwa razy, przeprowadzę i trzeci. - powiedział to nie tylko po to, by go pocieszyć. Chciał też dodać otuchy samemu sobie. Poprawił kaburę z pistoletem, która uparcie przekręcała się do przodu. Rozmasował biodro i ruszył przed siebie.

Znowu zadudniły bomby. Zaprawa sypała im się na głowy, oprószyła włosy. Czuł jej smak na języku. Drobne kawałki ugrzęzły w skołtunionych włosach. Hełm zostawił przed zejściem. Tak robili wszyscy. Tylko zawadzał. Gdyby wyrzucił nim w mur, echo poniosłoby się hen daleko korytarzami. Teraz trochę za nim tęsknił. Tak jakby kawałek blachy na głowie mógł powstrzymać tony ziemi i gruzu jeśli to wszystko się zawali.

- Daj już spokój. - skarcił się.

Kanonada cichła. Bomby, a może pociski artyleryjskie spadały już znacznie dalej. Może ostrzeliwali Śródmieście? - targał nim niepokój. Z Woli czy Pragi? A Niemcy trzymali jeszcze tamten brzeg? - przebiegło mu przez myśl – Bez znaczenia, jeden czort. Ze Starówki do Śródmieścia, stamtąd na Mokotów, a teraz z powrotem. Cholera by to. Tracił poczucie czasu i orientację w terenie. Dni, wydarzenia i miejsca zlewały się w jedno. Czuł się jak w malignie i może faktycznie w końcu czymś się zaraził od tego ciągłego babrania się w gównie. A może to tylko zmęczenie?

Szli kanałami, sam już nie wiedział, ile godzin. Poranionymi palcami dotykał wyłożonych cegłą ścian, szeroko rozpościerając ręce. Mógł przecież przeoczyć jakieś rozwidlenie i nawet by o tym nie wiedział. Polegał tylko na swojej intuicji. Tę część kanałów znał słabo. Nie miał żadnego źródła światła, więc nie mógł zauważyć, a co dopiero odczytać zdobionych ścian napisów i malunków. Zakładając, że w ogóle tam były. W tym świecie, stanowiły bezcenne drogowskazy. Nawet gdyby miał jakąś latarkę czy zapalniczkę, bał by się jej używać. Nie wiadomo, kto czaił się z przodu. Z głównej trasy zboczyli już dawno temu, zaraz po tym jak stracili przewodnika. Nie mógł być niczego pewien. Taka to była droga, po omacku.

W porę wyczuł obniżający się sufit i szepnął ostrzeżenie do tyłu. Częściej trzeba było iść jak teraz, w zgarbieniu lub niemal czołgać się na kolanach jak na drodze krzyżowej. Pozycja zupełnie niemożliwa do wytrzymania. Po krótkim czasie kręgosłup i kolana zaczynały palić żywym ogniem. A nie sposób było się wyprostować. Zaklął cicho, kiedy kolejny raz zahaczył plecami o wystającą cegłę. Wysocy jak on, tarli grzbietami po sklepieniu. Stawiał krok za krokiem, krzywo, jak kaczką. Nagle stopa mu odjechała i omal nie wylądował z twarzą w spływających wolno fekaljach. No i to cholerne półokrągłe podłoże, jak we wnętrzu jajka. Stopy ciągle uciekały. Co za męka. Może taka była ich pokuta? Może to za tych zostawionych tam na górze?

Już dwa razy przeciskali się podobnymi, sięgającymi mu nieco wyżej pasa korytarzami. Szerokimi na jedną i to raczej szczupłą osobę. Przynajmniej szczelina była nieco szersza, niż ta sprzed kilku godzin, kiedy trasę zagrażał zrzucony z góry złom obwieszony pułapkami z granatów. Padł wtedy na ziemię i modlił się, po pierwsze żeby to kołyszące się cholerstwo nie wybuchło, a po drugie, żeby czarna breja, którą umownie nazywał w myślach „wodą” nie wlała się do nosa i ust. Udało się tylko to pierwsze. Wymiotował tak długo, aż żołądek zwinął się w ciasny, bolący kłębek.

No i ten smród. Dzięki Bogu, w kanałach dość szybko traciło się powonienie. Dopiero, kiedy z mijanych kratek odpływowych docierało świeże powietrze, człowiek znowu czuł, że ma nos. Ze smrodem mógł jeszcze wytrzymać, ale zaczynało robić się duszno. A może tylko popadał w obłęd? Czy jednak dusił się z braku tlenu? Zakręciło mu się w głowie. Zachwiał się, a przed oczami zatańczyły mu ognikami kolory tęczy.

Czuł, że spada, a wtedy kobiece dłonie złapały go za kłapy kurtki przyciągając mocno do siebie. Zamrugał, próbując zogniskować wzrok. Znowu upalne lato, ale tym razem czerwone od zachodzącego słońca, a może otaczających ich płomieni dogorywającego miasta. Wpatrzono w niego zielone oczy. Pełne rozpaczy, nadziei. Okrągła twarz, potargane i skołtunione od popiołów rudawe włosy. Niewiele starsza od niego, może trzydziestoletnia. Wyschnięte z pragnienia usta, którymi poruszała jakby szeptała modlitwę. Odsunął jej ręce, ale padła na kolana i, szlochając, zaczęła ciągnąć za nogawki. - Proszę – błagała przez łzy.
- Nie mogę... nie rozumiesz... - wysapał przerażony.
- Weź chociaż jego... proszę. - nie poddawała się. Chciał się wyrwać ale nie puszczała – Zostaw... puść... puszczaj! - krzyknął, cofając się.

Wpadł plecami na Staszka, który zajęczał. Zaraz za nim rozległo się kilka innych zaskoczonych głosów. Majaki zniknęły, zastąpione ponurym obrazem kanału.
- Nic, w porządku... po prostu się potknąłem. – rzucił w tył. Dobrze, że nie mogli zobaczyć jego przerażonej twarzy.
- To tylko halucynacje. Weź się w garść, nikogo przed Tobą nie ma. - napominał się.
Cały drżał ale zmusił się do zrobienia kroku, a po nim kolejnego. Chwilę trwało nim odzyskał rytm marszu.

Ręka nagle wpadła w pustkę. Zawahał się. Korytarz rozwidłał się, a to oznaczało dwie rzeczy. Po pierwsze, już kilka razy musieli się cofnąć, bo kanał nagle się skończył, albo przejście było zawalone. Po drugie, jeśli dało się przejść, to zazwyczaj w bliskiej odległości od krzyżówki znajdowała się drabinka z wyjściem na powierzchnię. Każdy taki właz stanowił utęsknione źródło światła i świeżego powietrza. Mógł też oznaczać wolność. Najczęściej jednak, stanowił śmiertelną pułapkę. Niemcy cierpliwie czekali, tam na górze. Zaczajeni, z „tłuczkami” w dłoniach. Raz, jakiś skurwiel, wrzucił przez kratkę odpływową karbid. Całą masę. Skąd go wziął? Chemik pieprzony. Odczekał i kiedy usłyszał, że ktoś się zbliża wrzucił zapalone łuczywo. Efekt był bardzo podobny do tego, co robił granat. Zwłaszcza na tak małej i zamkniętej powierzchni. Tak stracili przewodnika, nie było co zbierać. No i ten huk, rezonujący w głowie długo później. Fakt, że w wąskim korytarzu wszystkie odłamki przyjmował na siebie pierwszy w kolumnie. Reszcie zwyczajnie pękały bębniaki od huku. O tyle dobrze. Nie podpalone opary, zalegały w kanałach i truły. Ludzie umierali w męczarniach.

- Jezusie, Mario... nie dam rady... - zajęczał znowu Staszek, tym razem głośniejsze.
- Szeregowy, weźcie się w garść, bo was tu, kurwa, zostawię! - burknął przez ramię Władek.

Korytarz był w tym miejscu tak wąski, że nawet nie mógł się odwrócić. Oczywiście, nigdy nie spełniłby tej groźby, nie zostawiłby brata, to jasne. Władek był starszy o kilka lat, w dodatku, także wyższej szarży. Trochę ojcowskiej dyscypliny zajmie na chwilę fiksującego szczeniaka. Sam przecież ledwie trzymał się kupy. Wszyscy byli na skraju załamania nerwowego. A takie głośne lamentowanie mogło zdradzić ich obecność. No i nie pozwalało mu się skupić. A musiał wybrać korytarz, w który mieli skręcić. Odwrócił się w lewo i zrobił kilka kroków.

Błądząc dłonią w ciemnościach natrafił na coś lepkiego, aż targnęło nim obrzydzenie. Wytarł tylko palce o spodnie, nawet nie sprawdzając. Ściany oklejone były szlamem, a ocierali się o nie tak, że nie sposób było zachować choćby skrawka garderoby w czystości. Jednak tylko poprzez dotyk, można było w ciemnościach poznać, którędy wiodły szlaki komunikacyjne. W tych uczęszczanych, korytarzach miały wytarte przez przechodzących ludzi ściany.

Cofnął się do rozwidlenia i poprowadził ich prawą odnogą. Zrobiło się trochę szerzej. Nadepnął

na porzuconą broń, a może tylko jakieś śmieci. To potwierdzało, że dobrze wybrał, ktoś tędy przechodził.

Szli tak dłuższy czas, bez słowa. Przed sobą usłyszał plusk i zmroziło mu krew w żyłach. Po kilku sekundach dobiegły go szczurze piski. Stworzenie przebiegło mu po nodze. Jakiś kobiecy głos zapiszczał panicznie gdzieś za nim.

- Ciii... To nic, tylko jeden, mały gryzoń. Może też się zgubił. – rzucił ktoś do dziewczyny. Że też stać go było na żarty. Ciekawe który to? Oczywiście nie mógł się nawet odwrócić, żeby sprawdzić, ale nagle zaświtała mu w głowie niepokojąca myśl. Wydał mu się to dziwne, że szczur przeciskał się między nimi zamiast pójść inną drogą? Nagle nogi obmyła mu zimna woda, a jej poziom szybko się podnosił. Teraz rozumiał i o mało nie krzyknął. Przyspieszył kroku, nie mogli zawrócić. Jedyna nadzieja w tym, że korytarz zaraz się skończy.

- Byle tylko nie zalewali. Boże, uchron. – błagał w duchu, z sercem w przełyku. Woda zaczęła sięgać powyżej kostek. Czuł, jak narasta w nim nieokiełznana, wręcz zwierzęca panika. Z trudem powstrzymywał się, żeby nie zacząć na oślep biec przed siebie, byle szybciej. W przypiływie desperacji spoliczkował się z całej siły.

- Nie myśl. - rozkazał sobie – Rób krok za krokiem. Liczy się tylko kolejny metr.

Mijały długie minuty, woda wzbierała, a oni brnęli dalej w rytmie plusków i rwanych oddechów. Płynące z nurtem śmieci zaczęły obijać im się od kolan. Jakieś puszki albo manierki, ludzie gubili lub zostawiali różnoraki dobytek.

Nigdzie nie napotkali ani drabinek, ani włazów a czasu mieli coraz mniej. Błądził drżącymi dłońmi po ścianach szukając ukrytych gdzieś drzwi, które wypuściły by go z koszmaru. Czuł, jak twarz zaczyna płonąć gorącem, a w głowie szumi. Nie mógł już zebrać myśli. Przypomniało mu się coś z dzieciństwa i parsknął śmiechem. Był jak ta krowa którą zaprowadził kiedyś z ojcem do rzeźnika. Boże, pamięta jej oczy, kiedy poczuła bydlęcą krew i strach, zapach śmierci. Jak wierzyła, jak się targała. Nie spał później całą noc. Teraz wiedział, jak to jest. Czuł całym sobą wszechogarniający strach, którego nie potrafił opanować. I pomyślał, że może oni wszyscy też są tylko takimi bydlętami idącymi na rzeź.

- Weź się w garść! - wysyczał ze złością, prawie płacząc. Wydawało mu się, że ktoś go zawołał.